







P. II - 376



Wydanie 8000  
P. II - 376

Cena 10.000 mk.

№ 6.

# GŁOS PRAWDY

**TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY**

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.  
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4—6.  
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

**WARSZAWA, DNIA 20 PAŹDZIERNIKA 1923 ROKU.**

## Taniec nad przepaścią.

Obowiązek nakazuje nam zatrzymać się chwilę nad zagadnieniem, tak często dzisiaj powtarzanem, że aż zbanalizowanem, a mianowicie: zamachem stanu. Trzeba się przyznać do grzechu, że do samej koncepcji zamachu obóz demokracji odnosi się z takim багаżem zrozumiałego oburzenia, iż mimowoli amputuje sobie możność trzeźwego sądzenia tego zagadnienia na tle warunków dzisiaj nas otaczających.

Nie mamy potrzeby na tym miejscu raz jeszcze stwierdzać, że jeśli mowa o możliwościach lub przemyśliwaniach o takim lub innym zamachu stanu, oczy zwracają się wyłącznie w kierunku niektórych ugrupowań politycznych wchodzących w skład większości rządowej. Nie jest bez znaczenia fakt, iż wszystkie wystąpienia publicystyczne z tamtej strony, wymierzone przeciwko koncepcjom zamachowym, zwracają się przeciwko rzekomym knowaniom lewicy, nigdy zasadzie samej. Mają one jedynie wartość dokumentów tchórzostwa poszczególnych krzykaczy, a nie zaś rozumu politycznego, rozważającego możliwości gwałtów ze stanowiska państwowego.

Tymczasem sprawa nie jest bynajmniej tak prosta jakby się pozornie wydawało i dla uniknięcia złudzeń wynikających z fałszywego rachunku trzeba stwierdzić, że sytuacja w jakiej się w tej chwili znajduje całokształt spraw państwowych, zarówno w dziedzinie polityki zagranicznej i wewnętrznej, jakoteż gospodarczej i stosunków społecznych, wytworzyła szereg poważnych obiektywnych danych dla zaistnienia i rozwoju idei

zamachu stanu. Niema łatwiejszego argumentu nad oburzenie; ale jest naszym przekonaniem, że nie można nim operować bez końca, a co ważniejsze, — nie jest on, w najmniejszym stopniu, twórczy. Oburzenie z jakim lewica odnosi się stale do wszelkich koncepcji zamachowych świadczy niewątpliwie o jej wysokim szacunku i przywiązaniu do porządku prawnego w państwie, tem nie mniej, nie zmienia w niczem istoty naszego obecnego położenia, a więc nie wpływa na usunięcie warunków budzących myśl o zamachu.

Warunki te są następujące: 1) całkowity upadek autorytetu rządu w społeczeństwie przygniatanym coraz gwałtowniej ciężarami niedostatku i postawionego wobec beznadziejnego jutra, i 2) bierność stronnictw parlamentarnej opozycji, która nie potrafiła do chwili obecnej obudzić w masach wiary w konsekwencję i odwagę swego działania.

Fakt kompletnego zniszczenia przez rząd swego autorytetu w całym społeczeństwie, bez różnicy zabarwień politycznych, jest ponad wszelką wątpliwość ustalony inie popełnimy przesady twierdząc, że zdają sobie z tego sprawę wszyscy ministrowie i ich przyjaciele, którzy choć trochę realnie patrzą na mnożące się z dnia na dzień sygnały zbliżającej się katastrofy. Nie może być również mowy, aby ludzie, którzy wykazali bezprzykładną nieumiejętność gospodarzenia państwem w warunkach najpomyślniejszych, w jakich obejmował władzę którykolwiek bądź z poprzednich rządów, zdołali dzisiaj z dnia na dzień, jak tego wymaga sytuacja, odrobić wszystkie niepowodzenia, a co ważniejsze, zyskać od społeczeństwa niezbędną ku temu kredyt moralny.

Złe losy chciały, że tak sromotna kompromitacja spotkała rząd złożony z parlamentarzystów, co, jeśli chodzi o właściwą ocenę sytuacji, nie może być spuszczone z pod uwagi.

Oczy społeczeństwa siłą rzeczy zwracają się w tych warunkach w stronę drugiej strony Sejmu, a mianowicie opozycji. Od niej oczekuje ono i oczekiwać musi decydujących rozstrzygnięć: jasnych haseł i mocnych czynów. Dzisiaj, po ukończeniu debaty nad *exposé* rządu, musimy stwierdzić, iż oczekiwania te do pewnego stopnia zawiódły. Lewica nie wystąpiła jako organizm zgrany. Przemówienia jej przywódców, jakkolwiek silne i rzeczowe, nie zawierały w swej pozytywnej części deklaracji dostatecznie sprecyzowanych, aby mogły stanowić silną podstawę dla niezwłocznej zmiany gabinetu. Nie chcemy ukrywać, że wrażenie wystąpienia lewicy, niezupełnie przygotowanej do spełnienia roli narzuconej jej przez sytuację, w szerokich sferach społeczeństwa jest za słabe dla opanowania defetystycznych nastrojów.

Tem samem, lewica stając gorąco w obronie parlamentaryzmu, przyczynia się mimowolnie do rozbicia w społeczeństwie

wszelkich nadziei na zdolność Sejmu do podołania zadaniom ratowania państwa.

W tych warunkach, trzeba się bardzo poważnie liczyć z faktem, że psychika mas coraz szybciej dojrzewa do poparcia każdej odważnej jednostki, która zdobędzie się na rzucenie hasła ratunku państwa i jego obywateli od groźnie zawisłych nad głowami klęsk, bez oglądania się na wybór dróg i metod jego urzeczywistnienia. Masy bowiem w odróżnieniu od polityków rozumują kategorjami bardzo realnymi i myliłby się ciężko, toby przypuszczał, że dla utrzymania przy życiu Sejmu, gotowe są poświęcać bez końca sprawy najdotkliwsze, bo żołądka i że w imię nawet najszczerzej pojętego patriotyzmu nie zdecydują się nigdy na uśmiercenie Sejmu, jeśli nie zdoła on w najbliższym czasie dowieść racji swego istnienia.

Nie jest naszym celem w tej chwili badać czy niebezpieczeństwo to jest aktualne i w jakim stopniu. Chodzi tu wyłącznie o podkreślenie w sposób stanowczy, że abstrahując zbrodnicze zamysły elementów spekulatywnych, których nie brak w Polsce, istnieje realne niebezpieczeństwo dla rozwoju idei desperackich, które mogą doprowadzić do bardzo ciężkich i niebezpiecznych zaburzeń organizmu państwowego, osłabionego w przeciągu paru ostatnich miesięcy w znacznie wyższym, niż to się da dzisiaj ocenić, stopniu.

Jeżeli nawet, powodując się ryzykownym optymizmem, zechcemy zamknąć oczy na możliwość niebezpieczeństwa z tej strony i w ten, zdaniem naszym nieco sztuczny sposób, odciążyć sumienie lewicy parlamentarnej, to i tak nie unikniemy obawy przed konsekwencjami dziwnego spokoju, jaki zdołała ona ujawnić w pierwszym po wakacjach starciu z rządem, którego dymisja jest palącą koniecznością państwową.

Stoimy nad przepaścią finansową, której konsekwencje już dzisiaj poczyna dotkliwie odczuwać organizm gospodarczy. Nawet klęski w dziedzinie polityki zagranicznej, choć tak bardzo bolesne, dadzą się przy dobrej woli i rzetelności odrobić. Opinia zagraniczna zdaje się znakomicie odróżnia Polskę od p. Seydy i z chwilą, gdy gabinet, który szczyli się nim, jako członkiem, ustąpi, zmiana nastrojów da się, zapewne, szybko zauważyć. Atoli naprawa skarbu możliwa jeszcze dzisiaj, jutro może nastęrczyć trudności daleko przekraczające nasze wewnętrzne środki z tego przedewszystkiem powodu, że ciśnienie demoralizacji jakie wywiera na społeczeństwo gwałtowna inflacja marki, może całkowicie zrujnować psychiczne warunki naprawy.

Najgenjalniejszy kanclerz skarbu niczego nie dokona ze społeczeństwem wyprowadzonym z równowagi, a tej katastrofy można uniknąć jedynie przez dojście do władzy rządu, który potrafi, jak to skonkretyzował poseł Niedziałkowski, podporządkować interesy klas posiadających, wymaganiom racji stanu.

Położenie jest takie, że każdy dzień trwania obecnego rządu przyspiesza katastrofę finansową. Trudno jednak wymagać odeń ustąpienia, względnie od popierających go stronnictw zmiany przymusowego poprostu stanowiska, dopóki lewica nie przeciwstawi mu innego, opierającego się na realnym i wykonalnym programie. Lewica zaś trwa ciągle w stanie przygotowań i nie zdradza zbytnej ochoty do postawienia kropki nad i.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż na ten taniec Sejmu w stojącym nad przepaścią państwie nie pozostało zbyt wiele czasu. Życie domaga się przejścia od teorii do czynów.

*W. Stpiczyński.*

## **Nieszczęście jako kapitał polityczny.**

Nauka psychologii, w społeczeństwach powojennych, nie tylko polskiem, notuje dwa zasadnicze typy ludzi.

Jeden to ci, którzy przez ofiary z krwi na polach bitew, poświęcenie, przez wielkość poniesionych cierpień rozbudzili w swych sercach subtelną wrażliwość, może nawet nadwrażliwość patriotyczną i gotowi są tę idealistyczną miarę stosować do wszystkich przejawów życia i do ludzi. Stąd płynie ta ich niezwykła wytrzymałość na przeciwieństwa losu, wyższa miara rzeczy w życiu politycznym czy społecznym, głębia i powaga ujęcia swoich obowiązków obywatelskich i wielka łatwość, a nawet potrzeba przebaczenia przewinieniom innym. A obok tego typu obywatela równolegle wyrósł typ krańcowo różny. Cechuje go obojętność dla przesłanek idealnych, rezerwa wobec problemów polityczno-społecznych wymagających ofiar z życia, majątku lub chociażby ambicji, typ zimnego kalkulatora, który na każde nieszczęście, trudność, niebezpieczeństwo zawisłe nad zbiorowością, nad państwem ma jeden punkt widzenia, a mianowicie: co można na tym dla siebie zarobić?

I oto mamy dwa światy powojennych społeczeństw, w Polsce, niestety, szczególnie ostro podkreślone, światy nie do pogodzenia, które się nawet porozumieć nie mogą, albowiem język ich poza podobieństwem fonetycznym używanych dźwięków, jest najzupełniej różny.

Znana powszechnie odezwa rządu do społeczeństwa wydana z powodu tragicznej katastrofy na Cytadeli warszawskiej, obok zrozumiałego oburzenia, wywołała, głębsze może jeszcze, uczucie zdziwienia. Rząd uderzył w najsilniejsze struny grozy ukazując swemu społeczeństwu i światu potworne, wszechmocne, wszechobecne, jeszcze nieskonkretyzowane, nieuchwytnie, lecz realnie działające niebezpieczeństwo.

Tą jedną odezwą awansowani zostaliśmy do rządu narodów toczonych przez, zastraszająca chorobę anarchji. Wczoraj



bomby, dzisiaj prochownia, a jutro?.. Jeśli w tej skali rozwijać się będą siły i możliwości „zbrodniczej ręki“ — jutro chyba Warszawa, a za tydzień państwo całe runie w posadach, obwieszając światu: *finis Poloniae*.

Zabiegamy o pożyczkę zagraniczną, p. minister Kucharski musi w tych zabiegach rozwijać całą energję dla wzbudzenia zachwianego dostatecznie przez p. Seydę zaufania zagranicy do naszej zdolności gospodarzenia się, naszej woli wydzwignięcia się z dzisiejszych trudności finansowych, naszego narodowego zdrowia moralnego, jako gwarancji ciągłości i solidności pracy. Dlatego pierwszą rzeczą, jaka nas zainteresowała po wydaniu pamiętnej odezwy przez rząd, była formuła komunikatu wysłanego przez ministerstwo spraw zagranicznych dla użytku opinii świata. Dowiadujemy się z przerażeniem, że pisze się tam również o „zbrodniczej ręce“.

Nie będzie nam chyba poczytane za chęć posługiwania się demagogją jeśli stwierdzimy, że po tym komunikacie nie prędko przedstawiciel Polski będzie mógł mówić zagranicznym kapitalistom o jakiegokolwiek bądź pożyczce. Nikt nie może żądać od bankierów świata, aby pożyczali zawisłej nad Polską „zbrodniczej ręce“. Nikt nie pożyczyci narodowi, któremu wedle opinii jego własnego rządu zagraża niesłychane niebezpieczeństwo, może ruina, może rewolucja, może potop... Nikt nie pożyczyci bankrutom. W pewnych, sprzyjających warunkach mogą oni być tylko objektem kupna.

Gdy w tych warunkach i przez pryzmat tych konsekwencji patrzeć na odezwę rządu, można odnieść wrażenie, iż interes państwa został w niej całkowicie i celowo, bo wbrew przestrogom Sejmu w osobie jego Marszałka, pominięty. Czy zamiarem autorów odezwy było odwrócenie uwagi społeczeństwa od trapiących dotkliwosci życia codziennego, czy może chodziło po prostu o zwrócenie uwagi na fakt, że wobec krytycznej sytuacji wewnętrznej w państwie i wkradającej się w masy anarchji, należy obawiać się wzrostu sił symbolicznej „zbrodniczej ręki“ — przesądzać nie chcemy, tem więcej że nie ma to istotnego znaczenia, ani też nie może być usprawiedliwieniem dla rządu.

Objektywnie stwierdzić należy, że rząd nie miał dostatecznych podstaw dla wystawiania Polsce tak poniżającego świadectwa, które, co bodaj w pośpiechu przeoczone, jest aktem oskarżenia właśnie samego rządu.

Czytamy w odezwie, że rząd jest przygotowany do odparcia nieskonkretyzowanego niebezpieczeństwa. A tymczasem, studiując listę ofiar wybuchu, mamy obraz następujący: w prochowni w chwili krytycznej znajdowali się sami cywilni robotnicy. U wejścia stał posterunkowy szeregowiec, prawdopodobnie analfabeta, w każdym bądź razie w rzeczach umiejętności obchodzenia się z materiałami wybuchowemi bynajmniej nie fachowiec, którego funkcja ponadto polegała jedynie na strzeżeniu dostępu do sa-

mego obiektu prochowni w myśl lapidarnego, piąte przez dziesiątę pamiętanego przezeń regulaminu. Faktem więc jest, że wewnątrz prochowni, przebywali robotnicy bez fachowego nadzoru. Nie było tam odpowiedzialnego za tak wielkiej wagi obiekt wojskowy oficera, nikt się poprostu nie troszczył w jaki sposób z materiałami wybuchowymi obchodzą się laicy, którzy przez sam fakt oswojenia się z nimi, zobojętnieli do pewnego stopnia na surowe wymagania regulaminu i niebezpieczeństwo terenu pracy. Czy trzeba było w tych warunkach koniecznie złej woli, aby przez lekkomyślność, swawolę czy nieostrożność, któryś z nich nie stał się mimowolną przyczyną nieszczęścia. A dalej, jeśli praca w prochowni nie była wogóle kontrolowana, czy i jaką mamy gwarancję, że poczyniono tam wszelkie zabiegi, aby zmniejszyć możliwości samoczynnego wybuchu?

Gdy więc w tych warunkach dowiadujemy się od rządu, że zamach „zbrodniczej ręki“ zastaje go przygotowanym do walki, narzuca się pytanie, dlaczego śladów tego przygotowania nie spostrzegamy na terenie prochowni, zagrażającej życiu tylu obywateli stolicy, ba, dlaczego nie spełniano tam obowiązku najprymitywniejszej kontroli i nie stosowano normalnych środków ostrożności?

Jest już dzisiaj publiczną tajemnicą fakt istnienia silnej rozbieżności pomiędzy śledztwem wojskowych i cywilnych organów sądowych, z których pierwsze stoją na gruncie faktów i szukają przyczyn, a drugie, przyjmując *a priori* przyczyny, pragną odnaleźć sprawców. Konflikt ten zarysował się szczególnie silnie w niedzielę dnia 14 b. m. i skłonił ministra spraw wojskowych do wniesienia podania o dymisję. Incydent ten był przed społeczeństwem zatajony i zapewne gen. Szeptycki dymisję cofnął. Jest on wszakże jaskrawym wyrazem sporności tezy rządu co do „zbrodniczej ręki“.

Jakkolwiek groźnie ocenialibyśmy stan rozprzężenia w armji, dokonany w przeciągu ostatnich pięciu miesięcy, dla dobra Polski nie chcemy uwierzyć, aby do prochowni, zamkniętej w murach cytadeli warszawskiej, mogły mieć otwarty dostęp „zbrodnicze ręce“ i chociaż nie jest naszym obowiązkiem bronić rząd. a w szczególności odpowiedzialnego w tym wypadku ministra spraw wojskowych przeciw jego własnym samooskarżeniom nie dajemy wiary zawartemu w rzeczonyj odezwie wskazaniu, jakoby byli w tak zatrważającym stopniu odpowiedzialni za katastrofę.

Powstaje tylko do rozstrzygnięcia pytanie: dlaczego nieszczęście, kosztujące życie tylu obywateli, uznane zostało przez autorów odezwy za kapitał do walki politycznej, rodząc przypuszczenie, którego się poprostu lękamy wypowiedzieć, że wybuch mógł być na rękę.....

Odpowiedź na to pytanie nie do nas należy.

W. Stp.

## Instytucja zbędna i martwa.

Jedną z zasadniczych cech obozu obecnie rządzącego jest obłudność i frazes.

Taką faryzeuszowską akcją obliczaną na tani efekt, jest sprawa zmniejszenia djeł poselskich, podniesiona przez obóz prawicowy. Zapewne, dla panów Szarskich, Brunów, Wierzbickich, Zdziechowskich i t. d. djeł poselskie i senatorskie starczą na dobre cygara i likiery — innemi słowy nie odgrywają żadnej roli w budżecie; mogliby więc ich łatwo wogóle się zrzec. Inaczej przedstawia się sprawa tych posłów i senatorów, którzy całkowicie swój czas poświęcają pracy parlamentarnej. Dla tych posłów, wśród których wielu musi żyć na dwa domy, pensje poselskie są zaledwie skromne.

Tymczasem rząd i większość obecna, przyczyniając się swemi zarządzeniami gospodarczemi do ruiny skarbu, chcą jednocześnie zaimponować społeczeństwu rzekomym patriotyzmem i ofiarnością ku dobru państwa. Jako Marszałek Senatu p. Trąpczyński wystąpił z wnioskiem, aby senatorowie dobrowolnie zmniejszyli swe djeł o 10<sup>o</sup>/. Oszczędność śmieszna, ale dla agitatorów endeckich dobra okazja — patrzcie jacy my ofiarni, a jak chciwa lewica. Tymczasem bynajmniej tak nie jest. Jesteśmy jak najkategoryczniej za oszczędnościami, za rozumnymi redukcjami, a przede wszystkim za skasowaniem instytucji zbędnych. Istotnie byłoby wielką zasługą wobec społeczeństwa, gdyby zbędne instytucje same stawiały wniosek o swej likwidacji. Otóż taką zbędną instytucją jest w pierwszym rzędzie Senat.

Jeśli robić istotnie oszczędności — to robić je naprawdę rozumnie i racjonalnie. Otóż zlikwidowanie instytucji Senatu byłoby taką, istotną, prawdziwą oszczędnością, którąby odczuł budżet państwa. Sądźmy bowiem, że niema nikogo w Polsce, nawet wśród senatorów, ktoby miał odwagę zaprzeczyć temu, że Senat jest instytucją całkowicie zbędną.

Co dotychczas Senat zrobił? Oto do każdej ustawy wnosi setki poprawek, przeważnie natury stylistycznej. Sejm zaś poprawki stylistyczne i redakcyjne przyjmuje, wszelkie zaś merytoryczne odrzuca z zadziwiającą jednogłoścnością. Otóż dla tych stylistycznych i redakcyjnych poprawek stanowczo za dużo 111 senatorów. Szkoda i pracy tych ludzi, których mozolnie wypracowane poprawki i zmiany są systematycznie odrzucane, szkoda pieniędzy, które idą na djeł senatorów, pensje urzędników, biura stenografów, koszta światła i t. d.

Daleko prościej powołać przy Sejmie stałą komisję z 5—10 osób złożoną z tegich prawników, któraby między drugim a trzecim czytaniem, każdy projekt ustawy poddawała opracowaniu pod względem redakcyjnym i prawniczym.

Jak dalece Senat jest instytucją zbędną i martwą świadczą jego posiedzenia. Na galerji—żywej duszy niema. W łoży prasowej drzemie jeden dziennikarz, skazany przez swych kolegów bez różnicy przekonań na pilnowanie toku rozpraw. Na sali kilkudziesięciu znudzonych starsuszków, apatycznie słuchający mów referentów, którzy z góry wiedzą, że ich mozolną pracę Sejm rzuci do kosza. Poco więc to wszystko.

Zapewne, że Konstytucja nie może być poprawiona, a zrobi to dopiero następny Sejm. Senat musi więc istnieć. Ale jeżeli dziś już sam wyda wyrok o sobie i proponuje siebie skasować, jak tylko pozwoli na to Konstytucja, to rzeczywiście odda przysługę krajowi, ułatwi kasowanie instytucji zbędnych. I dlatego sądzimy, że p. Marszałek Trąpczyński wrażliwy na nawoływania prasy prawicowej wysłucha łaskawie i naszej opinji i podda nasz wniosek pod rozagę najbliższego konwentu senjorów Senatu.

Tak czy inaczej, losy Senatu są w Polsce przesądzone. Tak pomyślany jest ślepą kiszka w organizmie państwowym — wcześniej czy później musi być usunięty.

Niechże więc przynajmniej umrze z honorem.

Dlatego jesteśmy przekonani, że Marszałek Trąpczyński swą chwalebłą akcją redukcji wydatków na Senat będzie rozwiązał nadal i postawi na porządku dziennym nasz wniosek, aby zredukować wydatki na Senat nie o 10%, ale o całe 100%. Wówczas dopiero i my powiemy, że Panu Marszałkowi Senatu chodzi nie o pozór i *bluff*, ale na prawdę leżą mu na sercu potrzeby skarbu. Mieć odwagę powiedzieć, że jest się zbędnym to tak piękne i tak rzadkie w Polsce. I jeżeli Senat na tę odwagę zdobędzie się naprawdę, powiemy wówczas — wart był swego istnienia, bo dał przykład innym, że nie trzeba korzystać ze skarbu nie będąc potrzebnym państwu. Wówczas zejdzie Senat z areny życia publicznego przy oklaskach społeczeństwa, co lepiej i piękniej aniżeli wegetować zapomnianym przez wszystkich, jak grzyb na drzewie.

A więc naprzód w swej akcji oszczędnościowej Panie Marszałku Senatu.

T. H.

## A la baba plotkujący Szeptycki.

Minister wojny obowiązany jest baczyć, aby korpus oficerski żył w atmosferze honoru, uczciwości i etyki. Minister wojny obowiązany jest honoru mundur oficerskiego, honoru armji broń, on bowiem jest konstytucyjnym wojska reprezentantem. Jeśli gdziekolwiek stwierdzonym zostanie fakt, że działalność służbowa oficera stoi w sprzeczności z zasadami etyki—minister wojny obowiązany jest wkroczyć z całą surowością praw. Natomiast nie

jest rzeczą do pomyślenia aby, nie stwierdziwszy faktów, minister spraw wojskowych mógł rzucać kalumnje na wojsko, które sam reprezentuje.

\*

Zdawać by się mogło, iż powyższe prawdy są abecadłem życia wojskowego. Człowiek w mundurze oficera choćby był ślepy—widzi je wyraźnie, choćby był głuchy—słyszy ich nakaz. Jeśli prócz epoletów i akselbantów ma serce i krew żołnierza w sobie.

Ale Polska, za dni rządów obecnie władzę sprawujących, stała się krainą „wszystkich możliwości“. Oto scena, która odbyła się na ostatnim posiedzeniu Komisji wojskowej w Sejmie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, scena, której nawet człowiek o bujnej wyobraźni nie potrafiłby sobie wyfantazjować.

Generał broni hrabia Szeptycki oświadczył mianowicie, iż (zupełnie według recepty Conan Doyle) pewnego dnia, już wówczas, gdy tenże hrabia Szeptycki był ministrem spraw wojskowych, zjawił się u niego tajemniczy informator, który oświadczył, że listy tegoż ministra Szeptyckiego są czytane i kopjowane przez Oddział drugi Szt. Gen., temuż ministrowi podporządkowany. Na dowód czego nieznanemu informator zacytował ministrowi treść „dziewiątego listu od góry po lewej stronie“.

I...?

I nic.

Literalnie nic więcej.

Minister spraw wojskowych nie wszczął natychmiastowego śledztwa. Nie zastanowił się, czy nie ma do czynienia z prowokacją. Nie poczuł zniewagi, jaką czyni armji podobna insynuacja, potworność, jaką stanowiłby podobny fakt. Nie zrozumiał swoich *obowiązków*, nie zareagował nawet już nietylko jak minister, ale jak zwykły oficer. Nie.

Natomiast postąpił jak stara plotkująca baba. Powtórzył publicznie niesprawdzone oskarżenie, tak, jak to robi pierwsza lepsza przekupka na Rynku w Krakowie.

Sam oskarżył armję o przestępstwo. Walki z niem przecież nie podjął.

Chjena ma specjalne szczęście do listów. Poseł Dymowski wprowadził do polityki nowy argument w postaci „listów kradzionych“. Generał Szeptycki dodaje teraz do kompletu nową formę w postaci „listów czytanych“.

Ale jeżeli hr. Szeptycki uważa zjawisko czytania listów swoich przełożonych przez organa im podporządkowane za zjawisko normalne — to my tej opinji podzielić nie możemy. Nie sądzimy aby podobne świństwo nadawało się jedynie dla opowiadania anegdot panom posłom. W interesie armji, oficerów, w interesie całego narodu bez różnicy poglądów i zapatrywań leży walka z podobnymi nadużyciami. Walkę tę minister obo-

wiązany jest prowadzić, wzywamy go więc do spełnienia obowiązku. Żądamy śledztwa i sądu!

Ale...

Ale może jest inna przyczyna, dla której minister Szeptycki nie zarządził odpowiednich surowych represji. Przyczyną tą może być niepewność ścisłości tego co się mówi, brak poczucia odpowiedzialności za opowiedzianą anegdotę—lub obawa przed odpowiedzialnością za wydane prokuratorowi zarządzenie. Ten motyw „zaniedbania obowiązków służbowych“ przez ministra Szeptyckiego wydaje nam się najbardziej prawdopodobny. Nie wszczyna śledztwa bo się go boi. Nie wydaje zarządzeń bo doniesienia jego informatorów zdaleka cuchną prowokacją, swoistym zapachem tytoniu z wileńskiej fajeczki p. Swolkienia. Wolno czynić i takie przypuszczenia.

Ale jakże potwornym jest wówczas obraz generała broni, który *bez dostatecznych* podstaw zniesławia wojsko, którego jest konstytucyjnym *dowódcą i obrońcą*. Bez sprawdzenia, bez dowodów, bez próby poszukiwań, na zasadzie doniesień tajemniczego indywiduum, nazwiska którego nikt nie zna.

Bez sumienia i bez honoru. Nie jak oficer, nie jak mąż stanu, nie jak hrabia, nie jak mężczyzna nawet, ale jak stara plotkująca baba. Baba, która nie potrzebuje nigdy dowodów, bo ona „i tak wie“.

Otóż nie panie ministrze. Nie wolno rzucać słów na wiatr. Nie wolno ani plotkować ani używać nieprawdziwych argumentów. Trzeba ponosić odpowiedzialność za to co się mówi. Nie damy utonąć tej sprawie w błocie mieszanym przez Rabskich i Strońskich.

Żądamy śledztwa!

Żądamy nazwiska tajemniczego informatora!

Żądamy światła!

Na A — B w Krakowie może pan hrabia Szeptycki gadać z przekupkami krakowskimi co chce. Ale w Sejmie tego czynić nie wolno.

## **Pan profesor Konopczyński ma głos!**

Rok szkolny się rozpoczyna. Na uniwersytety polskie zjeżdża się tłumnie młodzież ze wszystkich stron kraju, tłumniej niż zwykle, tłumniej niż jeszcze rok temu. W tym ważnym dla całego naszego kulturalnego życia momencie, gdy szeregi młodych i starszych obywateli akademickich zapełniają swe uczelnie i otaczają swych profesorów, jest rzeczą konieczną i niezbędną, by poruszyć jasno i otwarcie to palące zagadnienie, które tak silnie w ubiegłym roku szkolnym poruszyło umysłami i sercami młodzieży, które je podzieliło na dwa zwalczające się obozy, które

w duszę tej młodzieży nierzadko rzuciło posiew zły, posiew szkodliwy, posiew nienawiści.

Mówimy o „*numerus clausus*“ ...

Te dwa słowa w tak niedawnym czasie, bo w zeszłym dopiero roku szkolnym, rozbrzmiewały ze wszystkich uczelni, ze wszystkich środowisk akademickich, z katedr profesorskich i mównic wiecowych, z gorących dyskusji i namiętnych sporów. Te dwa słowa wystawione zostały jako bojowy sztandar całego odłamu młodzieży, jako ideowe hasło i zawołanie, jako wyraz dążeń i pragnień całego szeregu młodych obywateli akademickich. Te dwa słowa z drugiej strony zwalczane były uparcie i konsekwentnie przez drugi odłamek młodzieży, który w hasło tym widział nie tylko prawniczy zamach na ducha i treść Konstytucji, ale przede wszystkim zamach na polską kulturę, na jej wspaniałą wartość, na przeszłość polską i tradycję — od której odtrąceni mieli być ci wszyscy, którzy swój naród i swoje pochodzenie cenią — a będąc obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej — polskiej chcą słuchać nauki.

Mieli pójść odtąd do Pragi, Berlina i Moskwy — ci z nad Niemna i Zelwy, z nad Styru i Zbrucz, ci wszyscy Rusini, Białorusini, Litwini, Niemcy i Żydzi, ci wszyscy którym zamknięto wrota polskiej nauki, by się przypadkiem nie zwiedzili kto był Mickiewicz i Słowacki, kto był Wroński i Cieszkowski, co w sobie zawiera polska myśl i kultura świetna...

Mieli ich o tym natomiast pouczać Niemcy, Czesi, Moskale!..

Zagadnienie to, w krótkich tych dwu słowach zawarte, zbyt wielką i doniosłą treść w sobie zawierało, zbyt silne wzburzenie dusz wzniecało — by mogło być spokojnie, a chłodno dyskutowane.

Ci wszyscy w owym okresie zeszlórocznym, którzy za „*numerus clausus*“ toczyli tak wielkie boje, zwracali się z ustawicznym, a niecierpliwym wołaniem do rządów ówczesnych, do Sejmu i do społeczeństwa, by nie zwlekając ani chwili sprawę tę zadecydowali, by stało się zadość głosowi młodzieży, młodzieży właśnie — która tego chce, pragnie, wreszcie żąda.

Sekundowały tym rezolucjom głosy z prasy, z katedr, z Sejmu, głosy ludzi poważnych i poważanych, głosy profesorów i wychowawców samej młodzieży.

\*

Rok szkolny się rozpoczyna. Od kilku miesięcy nawą państwową sterują ci, którzy to hasło rzucili wśród młodzieży, którzy tym hasłem tak wielkie wzbudziły namiętności, którzy tym hasłem rozdzielili nie tylko życie młodzieży, ale często dzielili rodziny, przyjaciół, znajomych. Zdawałoby się, że skoro tylko rząd uchwycił w swe dłonie, że skoro mają w sejmie większość — natychmiast tę tak dla nich piekącą i arcyważną sprawę załatwią.

Że stało się inaczej — o tym wiemy. Że stanie się tak — dawno o tym byliśmy przekonani. Przekonany o tym był również ów drugi, przeciwny „num. cl.“ odłam młodzieży i tłumaczył swym rozgorączkowanym kolegom, że akcja ta jest wybitnie partyjno-polityczną, dla chwilowych, doraźnych celów wznieconą, że jest obłudną i nieszczerą, cyniczną i pełną demagogji. Nikt tego nie słuchał! Zachęta przywódców, posłów, profesorów była zbyt wyraźnym i jasnym dowodem, że zarzut to niemożliwy. Że akcja o „*numerus clausus*“ jest szczerą, rzetelną, na ideowym podłożu opartą...

Do przywódców akcji za hasłem „*numerus clausus*“, zaliczał się na uniwersytecie Jagiellońskim poseł - profesor historii pan Władysław Konopczyński. Profesor Konopczyński był głównym referentem sprawy „num. cl.“ na sejmowej komisji oświatowej, był referentem wśród grona profesorów, gdy sprawę tą zadecydować miano, był wreszcie dla mnogich swych uczniów, dla szerokiego ogółu młodzieży akademickiej tym bojownikiem, szermierzem niezłomnym, tym wreszcie puklerzem, o który rozbić się miały wszelkie zarzuty o „rzekomych“ partyjno-politycznych przesłankach całej tej akcji. Sam z oburzeniem odpierał te „insynuacje“ na posiedzeniu wydziału filozoficznego Un. Jag. — sam, osobą swoją własną, nazwiskiem profesorskim, godnością posła i człowieka gwarantował i przed kolegami swymi, a co najważniejsza, i przed tysiącami młodzieży — że akcja jest czystą, ideową, konieczną i do przeprowadzenia w pełni dojrzałą...

Na nim się tedy opierała cała nadzieja młodzieży, on, reprezentant „*numerus clausus*“ brał na siebie *przedeuszystkiem* tę wielką *odpowiedzialność*, że owe wzburzenie umysłów, owa namiętność i gorączka, ów siew zła i nienawiści, jaki tak bujnie w tych chwilach się rozplenił — nie w zło się obróci. Przeciwnie, posiew owoce miał wydać dobre, gdy sprawa „*numerus clausus*“ pozytywnie załatwiona będzie.

Młodzież polska żąda więc teraz rachunku! Albo profesor Konopczyński był tak samo jak i część młodzieży akademickiej głęboko przekonany o uczciwości akcji swej i wierząc w nią, wiarę weń głosząc i podtrzymując, *odpowiedzialność* za nią biorąc — czynił to *bonar fide* w najlepszej swej wierze — a jeno klub Jego, własni koledzy parlamentarni, władni dziś ministrowie haniebnie go oszukali — albo... robi tak samo i to samo co oni...

Trzeba więc dzisiaj wysnuć konsekwencje. Jeżeli pierwsza przesłanka jest słuszną, jeżeli prof. Konopczyński, w pełnej odpowiedzialności za swój czyn, ręką swoją własną osobą, służąc jako sztandar dla młodzieży akademickiej, wierząc i to odczuwając jak silnie i głęboko cała ta akcja duszę młodzieży porusza — widzi się teraz niecznie oszukany, to nie pozostaje mu nic innego, jak złożyć mandat, dowód dobitny i jasny, że padł



ofiarą oszustwa, że sam natomiast młodzieży oszukać nie chciał— albo — co jest nie do pomyślenia — akcję za „numerus clausus“ wszczynął i szerzył z taką samą perfidną i złą wolą, jako czynili to jego polityczni przyjaciele i... teraz ścicht.

Nowy rok szkolny się już rozpoczyna. Tysiące młodzieży akademickiej wraca do swych uczelni. Pyta się i żąda odpowiedzi. Co z „numerus clausus“? Co z tą gwałtowną, namiętną akcją, której tyleśmy duszy, serca i woli poświęcili. Na obronę i na walkę z nim, przeciw i za. Co z nim słyhać i co to znaczy: czemu targano i poniewierano naszymi gorącymi, młodemi uczuciami, czemu nas oszukiwano?... Poseł Władysław Konopczyński, profesor historii na Uniw. Jagiell., wychowawca młodzieży, rzeźbiarz jej młodych dusz i charakterów — ma głos.

*Gwido.*

## **Fałszywe „Zwierciadło Prawdy“ Świętochowskiego.**

„Poseł Prawdy“, wódz postępu polskiego z lat 80-ych i 90-ych opublikował ostatniemi czasy serję artykułów w *Gazecie Warszawskiej* p. t. „Zwierciadło Prawdy“. Są to uwagi na marginesach „Sprawozdania z czynności Najwyższej Izby Kontroli Państwowej“.

Zapoznawszy się z niezliczonymi nieporządkami kasowymi zaniedbaniami, uchybieniami w naszych ministerjach i in. urządach lub zakładach państwowych z *Prezydium Rady Ministrów łącznie*, co naraziło skarb Państwa na ogromne straty, słusznie byłby uczynił Świętochowski, „gdyby był nad nimi pokiwał głową w... zaciszu domowem lub, gdyby, pragnąc się wyowiedzieć, poczynił był uwagi nie w druku. Publikując to wszystko — Świętochowski uczynił z urzędów państwowych polskich cuchnące bagno!

Jest skądinąd to „odzwierciedlenie“ konglomeratu polskiej pracy urzędowej ładnym widowiskiem dla... zagranicy, u której zabiegamy o pożyczki! Pozatem Świętochowski, nie wchodząc w to—czy i jakie korzyści przyniosło państwu polskiemu wojsko—jego urzędy najwyższe i niższe, Ministerjum Spraw Wewnętrznych i t. p. pisząc nb. o dwóch latach funkcjonowania państwa (...z chaosu powstał świat!) jest on pomniejszycielem celowości pracy całej wielkiej i skomplikowanej maszyny administracyjnej państwa, podrywa poprostu zaufanie do władzy, pod znakiem zapytania stawia całe wielkie zastępy uczciwych, ofiarnych, cierpliwych a walczących i niedostatek cierpiących urzędników państwowych.

Jeśli z pośród tych, oczekających rozcieńczonym fetorem wylicznych przestępstw lub karygodnych przeoczeń tak smut-

nych przecież nad wyraz, wyjmujemy sprawę Ministerjum Zdrowia Publicznego, które Świętochowski uczynił odpowiedzialnem za przewinienia nie dotyczące tego Ministerjum, to czynimy tak dlatego, że Poseł Prawdy z „Prawdy Zwierciadło“, w krzywiźnie karykaturalnej ukazał ten urząd, traktując go najdotkliwiej.

Otóż Świętochowski nazywa Min. Zdrowia Publ. „zgniłym trupem“ i robi z tego, według swego zdania „niegodnego, ani świętej, ani błogosławionej pamięci“ utrupionego przez... siebie państwowego urzędu... siekaninę, zaprawioną, jadem żółci i złośliwością, niegodną tytana z „Prawdy“ i bożyszczą polskiego postępu. Dawna bystrość umysłu i głęboka zaduma nad całą płaszczyzną zagadnień życia polskiego, tak trudnego, a tak jedynie w swoim rodzaju przez Świętochowskiego wtedy ujmowana, ta zaduma wielkiej ongi miary publicysty i twórczego prozaika, byłaby kazała zcichnąć wzburzonym uczuciom polaka, żalowi czy wstydu, a w każdym razie wystąpić inaczej.

Nie chodzi nam tu bynajmniej, i to podkreślamy, o obronę Ministerjum Zdr. Publ. Były tam wady techniczne czy inne (gdzie ich nie było), ale niepowołane pióro, nie poinformowanego „wielkiego starca“ czyni Ministerjum Zdrowia, jak rzekliśmy, odpowiedzialnem za winy nie popełnione!

Poza nieznaczącym bowiem zarzutem, co do prowadzenia podręcznej książki kasowej — (nie braków kasowych) — szarpie i grzebie Świętochowski M. Z. P., nie wiedząc, że sprawa braków ewidencji samochodów dotyczyła zlikwidowanego „Naczelnego komisarjatu do walki z epidemjami“, tak słusznie skądinąd powołanego po rozprawach sejmowych w czasie rozszalałych u nas epidemji, przez P. Witosa, za pierwszej jego prezesury. Nacz. Nadzor. Komisarjat był jednostką państwową ratowniczo-sanitarną, postawioną poza władzą Ministerjum Zdrowia Publ., ani od niego zależną, ani jemu podległą. Kierownikiem Nacz. Nadzor. Kom. był senator dr. Godlewski, który nie był podległy Ministrowi Zdrowia Publicznego. Przypadkowo (jest to sprawa oczywiście uboczna) bije tu prawica... prawicę.

„Zwierciadło Prawdy“ Aleksandra Świętochowskiego, drukowane w *Gazecie Warszawskiej* było zbędną publikacją... Nie jest ona z prowdy krucjat, potrzebnym narodom ze strony ich duchowych prowodyrów nawet o tak spóźnionej porze zmierzchu duchowego... Czas był źle obrany.

Odbicia i ukazanie w „Zwierciadle Prawdy“ wszystkich tych faktów, nadających się do omawiania wewnętrznego Polski, do rozpraw w domu, jest kapitalnym materiałem dla... poselstw akredytowanych przez państwa obce w Polsce.

Ministerjum Zdrowia to epizod.

Całość to nieopatrzna zła, bardzo zła przysługa, wyrządzona przez prawicę Państwu i Narodowi.

W. M.

## Czy zbrodnia gen. Latinika?

Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że ruch faszystowski nie we wszystkich ośrodkach kraju równomiernie się rozwija, że raczej tworzy on silną organizację tam, gdzie cieszy się przemożną opieką osób, wysoko postawionych, zarówno w wojsku, jak i poza nim. Redakcja *Głosu* odwiedziło w ostatnich dniach kilku oficerów z Okręgu Korpusu Przemysł i oświadczyli, że niektórzy z ich kolegów, w wielu wypadkach ich przełożeni, wywierają na nich nacisk, aby wstępowali do *tajnej organizacji faszystowskiej, tworzonej jakoby z wiedzą i pod kierownictwem gen. Latinika*. Nazwisk naszych informatorów, z przyczyn zrozumiałych, nie podajemy, niemniej wskazane nam okoliczności wciągania wojskowych służby czynnej do spisku, zasługują na wiarę i wskazują na niebezpieczeństwo, jakie grozi armji i państwu wskutek anarchizacyjnej działalności żywiołów wywrotowych w wojsku.

Wojsko, podstawa bezpieczeństwa państwa nazewnątrż, musi być ochronione od wpływów rozkładowych, a ponieważ sprawiedliwość winna być jednakowa dla wszystkich, więc wywrotowa działalność prawicowych organizacji musi być narówni ścigana z działalnością sowieckich agentów.

Domagamy się od ministra spraw wojskowych i apelujemy do p. Prezydenta Rzeczypospolitej, jako zwierzchnika armji, o niezwłoczne wytożenie dochodzeń na terenie Okręgu Korpusu Przemysł, w celu ustalenia istoty przestępstwa generała Latinika i ewentualnego postawienia go w stan oskarżenia.

Generałem Latinikiem niejednokrotnie już musiał się zajmować i minister spraw wojskowych i rząd z powodu jego niepoczytalnych wystąpień natury politycznej. Tem więcej należy roztoczyć nad nim czujną opiekę i jak najspieszniej zbadać charakter jego działalności w roli szefa korpusu armji, która jutro może być powołana do zadań, wymagających nie znajomości filozofji ende-faszyzmu, a poprostu sztuki walki na bagnety.

Elzar.

## Lista szlachetnych.

W odpowiedzi na artykuł zamieszczony w numerze 3-cim *Głosu Prawdy* p. t. „Wstrząsający dokument” — w dalszym ciągu w lokalu redakcji dla żony i dziecka ś. p. por. Szymańskiego złożyli: Urzędnicy Wydziału Powiatowego w Kowlu—1.020.000 mk., Grono Pracowników Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń w Warszawie—1.250.000 mk. i bezimienny ofiarodawca—50.000 mk. Ta lista szlachetnych obywateli przesłana będzie wraz ze złożonymi kwotami rodzinie ś. p. por. Szymańskiego.

## Wydawnictwa nadesłane.

DROGA — miesięcznik, poświęcony sprawie życia polskiego, pod redakcją Adama Skwarczyńskiego, nr. 6—7, str. 80.

Na czoło tego zeszytu wysuwają się dwa poważne studia publicystyczne: Tadeusza Hołównki „Strach przed władzą” i ukrywającego się pod inicjałami M. B., niewątpliwie wybitnego znawcy arkanów naszej polityki zagranicznej—„Po wyborach do Ligi Narodów”. Tadeusz Hołownko, jeden z najwybitniejszych publicystów naszej doby, z właściwym sobie temperamentem i talentem rozważa problem niechęci lewicy do objęcia władzy, udawadniając plastyczną argumentacją szkodę państwową takiego stanu rzeczy. Aktualność poruszonego problemu narzuca się sama przez się w dzisiejszej sytuacji, brzemiennej w najcięższe niebezpieczeństwa, płynące, głównie, z nieudolności i bezradności rządzących i bierności opozycji parlamentarnej. Wybitnie aktualna jest również rozprawa M. B. „Po wyborach do Ligi Narodów”. Głę-

bokie znawstwo przedmiotu polskiej polityki zagranicznej, poważne i rzeczowe oświetlenie dzisiejszych kłesk, nadają rozprawie wartość materiału historycznego dla przyszłości i przestrogi dla czynnych polityków, za los państwa odpowiedzialnych. Te i szereg innych artykułów, w tym zeszycie zamieszczonych, czynią miesięcznik wprost niezbędną lekturą dla inteligentnego czytelnika, interesującego się życiem politycznym.

SKAMANDER — miesięcznik poetycki, pod redakcją dr. Mieczysława Grydzewskiego, zeszyt XXXI — XXXIII.

Wakacyjny plon grupy poetów, która pod sztandarem „Skamandra” wniosła przed paru laty do naszego wypranego z intelektu świata literackiego tyle życia, niestety, nie jest zbyt bujny. Zamknięte w ciasnych ciotkach Warszawy przepojonej zatrutem powietrzem, przeciążającym nerwy ludzkie nadmiarem burzących wstrząsów, talenty śpią. Nie rozwijają się. Krzywizna lotu wybrańców muz zniża się ku ziemi. Niestety. Ostatni zeszyt *Skamandra* — to karta wizytowa dystygowanych i wytwornych dzieci salonu, ale nie taran bojowników. Dlatego, że są tak utalentowani, że zapowiadali nam tak wiele (choć zapewne mimowolnie), że wreszcie wkradli się w nasze sympatje, musimy im powiedzieć po przyjacielsku, ale szczerze: starzejecie się przedwcześnie. Zbyt długo trwacie na zdobytych wstępny bojem szafkach, chociaż słychać z nich krzyk Iwaszkiewicza: „za ciasno nam”. Za ciasno. Zadumany chorzący „Skamandra” — Lechoń milczy, nie pisze. Przerzucamy zeszyt od deski do deski — Lechoń milczy. Tuwim rzucił wierszyk od niechęci. Słonimski mówi ładnie i barwnie o wrażeniach z podróży do Ziemi Świętej. Iwaszkiewicz śpiewa hymn zbuntowanego niewolnika:

„Szeroko chcemy odetchnąć, raz tylko szeroko odetchnąć  
I pędzić statkiem różowym w zielony, dziwny świt“.

Jest „znużony“.

Płkna i mocna jest proza Kadena-Bandrowskiego, niesamowita Balińskiego. Śliczne są wiersze Rytarda, i takie wykwinnie kobiece Pawlikowskiej i ładne wielu jeszcze innych uczniów i wychowanków „Skamandra”. Ale to nie to, nie to.

I wreszcie mały znak zapytania, ale już pod adresem redaktora. Czy „monografia psychologiczno-społeczna” pióra Karola Irzykowskiego na łamach *Skamandra* nie jest małym nieporozumieniem?

## OD ADMINISTRACJI.

Wobec olbrzymiego (ponad 100 proc.) wzrostu kosztu druku i papieru w przeciągu m. września, jesteśmy zmuszeni podnieść cenę pojedynczego egzemplarza „Głosu Prawdy” i prenumerate.

Sz. Prenumeratorów prosimy o rychłe uregulowanie przedpłaty na kwartał IV.

**TREŚĆ № 6-go:** Taniec nad przepaścią — *W. Stpiczyński*. Nieszczęście jako kapitał polityczny. — *W. Stp.* Instytucja zbędna i martwa. — *T. H.* A la baba plotkujący Szeptyki. Pan profesor Konopczyński ma głos! — *Gwido*. Falszywe „Zwierciadło Prawdy” p. Świętochowskiego — *W. M.* Czy zbrodnia gen. Latinika? — *Elzar*. Lista szlachetnych, Wydawnictwa nadesłane.

**Warunki prenumeraty:** Prenumerata miesięcznie 40.000 Mk., kwartalnie 120.000 Mk. Zagranicą kwartalnie 180.000 Mk. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński**.

Druk. Spółki Wydawniczej Powszechnoj Szpitalna 1.







**BIBLIOTEKA IBL**

P. II. 376

1923

N. 1-12